

Macierz Polska.

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 31.

CHICAGO, 1-go SIERPANIA (AUGUST 1-st), 1907.

ROK (Year) VIII

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



WIELKA TAJEMNICA.

Polowanie na bawoły.

(Henryk Sienkiewicz.)

(Dokończenie).

Niepojawienie się jednak Indyan wprawiło Woothrupa w kłopot niemały. Jeżeli, jak przypuszczał, dobre stosunki Indyan z komisarzem uległy jakiegokolwiek zmianie, dalsza podróż stawała się niebezpieczną i arcy trudną, trzeba bowiem było iść dzikim krajem wśród nieprzyjaciela, aż do północnej, bardzo jeszcze odległej grupy Czarnych Gór, następnie przecinać je w poprzek, chcąc się dostać do osad górniczych. Otóż Woothrup lękał się brać na swoją odpowiedzialność losów tylu ludzi, z których wielu żaden interes w stronę Czarnych Gór nie popychał, Woothrup mógł do Czarnych Gór zawsze jechać przez Council Bluffs i Sioux City, drogą już utartą. Tymczasem wahał się, czy nie wrócić, tembardziej że wyprawa myśliwska mogła być uważana za skończoną. Powiedziałem mu, żeby robił, co mu się podoba, i istotnie, tak byłem słaby, że było mi to wszystko jedno. Wieczorem gorzej mi się jeszcze zrobiło. Paliła mnie gorączka, czułem zawrót głowy i ból we wszystkich kościach. Obawiałem się że utracę przytomność. Zauważyłem także, że Thompson poszedł spać do innego wozu, niby dlatego, żeby mnie było wygodniej ale, w gruncie rzeczy, obawiał się, czy nie jestem chory na zaraźliwą febrę, lub tyfus. Woothrup i Ward jednak pozostali przy mnie nitylko pierwszej nocy, ale i później.

Drugiego dnia jednak zrobiło mi się nadspodziewanie lepiej. Mogłem się przechadzać po majdanie, a nawet po „lunchu“ siadłem na konia i pojechałem na rzekę. Wieczorem tegoż dnia zaszedł ważny w obozie wypadek. Przyjechał od Mac-Clella metys z listem do Woothrupa. Człowiek ten przebył w pięć dni drogę, którą my wleliśmy się już dwa tygodnie. Przywiózł niedobre wiadomości. Przewidywania Woothrupa sprawdziły się. Indianie Utes, narzekając na głód w swoich rezerwacyach, zażądali wydania im ze składów rządowych (storow) zapasów żywności. Mac-Clell odmówił stanowczo; wówczas to wojownicy Utów, siadłszy na koń, posunęli się pod wodzą niejakiego Duglassa ku linii kolei żelaznych i, przestawszy prosić, poczęli grozić. Mac-Clell zawiadomił o tych rozruchach natychmiast fort Laramie, prosił na wszelki wypadek o się zbrojna, a tymczasem rozpoczął układy. Obawiano się jednak że wojna stanie się nieuchronną — tembardziej, że w roku tym szczególnie jakiś ruch ogarnął indyjskie pokolenia. Po wojnie ze Siouxami, poczęła się wojna z Przekłutemi nosami w Ajdacho (Idaho), dalej zajęcia z Ponkasami, a nakoniec z Utami. Być może że przyczyną wszystkich tych ruchów była emigra-

cyą białych na północ, która, wypychając jedne pokolenia, wypychała je na drugie. Mac-Clell spodziewał się jeszcze załatwić sprawę spokojnie, ale mimo to wzywał nas, abyśmy wracali jak najprędzej póki układały się toczą i powstrzymują Czerwonoskórych od porywania się zbrojną ręką na podróżników. Na naradzie, jaką złożyliśmy wieczorem, Ward proponował, aby, zamiast do Percy na stację kolei, ciągnąć do fortu Laramie, gdzie bylibyśmy bezpieczni. Powstała z tego powodu sprzeczka, bo inni poczęli naśmiewać się z Warda, pytając go, gdzie się uczył geografii. Istotnie, rada jego nie miała najmniejszego sensu; do fortu Laramie, leżącego nad „Nort Fortk of Platte R.“, już niedaleko. Nebraski, było przynajmniej cztery razy dalej, niż do stacji Percy. Przytem droga szła środkiem rozmaitych rezerwacyi byłoby to więc włączyć nieprzyjacielowi w paszczę. Z drugiej strony jednak sądziłem, że trzydziestu ludzi doskonale uzbrojonych, mających zapasy żywności i wozy, z poza których łatwo się bronić, nie bardzo potrzebuje się lękać Utów, czy kogokolwiek.

Bądź co bądź, postanowiliśmy wracać i wracać tą samą drogą. Odwrot ten rozpoczął się zaraz nazajutrz. Była to najtrudniejsza część podróży. Pominąwszy, że zapał myśliwski, który dodawał nam sił, gdyśmy szli naprzód, nie istniał już, pominąwszy zmęczenie, które ogarniało coraz bardziej wszystkich, trzeba było istotnie zachowywać teraz naderwyczejnie ostrożność. Nocami połowa ludzi musiała zawsze czuwać nad mułami i obozem. Strażom surowo było zakazane drzemać na postoju. Nie wolno było także oddalać się, nawet w dzień, więcej niż na pół mili od karawany i to tylko w miejscach otwartych. Z tem wszystkim wleliśmy się jak żółwie. Na szczęście lub na nieszczęście dla mnie, nie brałem żadnego udziału w trudach, leżałem bowiem cały czas na wozie, chwilami przytomny, a chwilami nawet w milignie.

Czwartego dnia odwrotnej podróży przewodnicy spostrzegli znaczny oddział Indyan i ostrzegli dość wczesnie karawanę, aby miała czas się uszykować. Wozy natychmiast stanęły w jednej linii, a ludzie w pogotowiu. Indianie widocznie nie mieli zbyt przyjaźliwych zamiarów ponieważ, zbliżywszy się na trzecią część mili, podnieśli wycie i wypuścili cwałem konie. Ale widok trzydziestu strzelb wymierzonych i spokojny, pewny głos Woothrupa, rozlegający się jako komenda, wstrzymały ich w przyzwyczajonej odległości. Było ich około stu wojowników. Wieczorem przysłali do nas poselstwo. Chciałem wtedy koniecznie wstać, aby, zasiadłszy u ogniska rady, palić z Indianami i przypatrywać im się, ale nie mogłem. Gdym wyszedł z wozu, nogi zachwiały się pode mną i o mało nie utraciłem przytomności. Położono mnie nazad na wóz, musiałem więc po-

przestać na przypatrywaniu się nowym gościom, przez uchylone płótno wozu. Zresztą, ponieważ wozy stały blisko, widziałem ich więc dosyć dobrze. Siedzieli przy ognisku w kuczki, paląc w milczeniu i wlepiając jakgdyby zamyślane oczy w ogień. Fajka ubrana była w pióra; krążyła z rąk do rąk. Rysów ich nie mogłem jednak dobrze widzieć, ponieważ silne światło i cienie, rzucane przez ognisko, zacierały je. czyniąc jednych podobnymi zupełnie do drugich. Jeden z posłów miał włosy, spadające prosto po obu stronach głowy, i futrzaną czapkę, dwaj drudzy oberwane kapelusze, wyrobu białych, z ponatykanymi piórami za tasiemkę, a nawet i dziury derek ciemnych i rozmaite skóry; na nogach spodnie z frenzlą w bocznych szwach — i nakonec mokasiny. Twarze ich mały dość przypłaszczone nosy, wystające policzki, zwęzły się zaś ostro w kierunku brody. Prócz tego, silne zmarszczki, idące od skrzydeł nosa po obu stronach ust, nadawały im wyraz starości. Jest to podobno wspólna cecha w rysach Indian. Gdy który z nich mówił, nie patrzył na Woothrupa, do którego wszystkie mowy były zwrócone, ale wprost przed siebie, jakgdyby mówił do siebie, lub z natchnienia Ducha świętego. Stary strzelec służył za tłumacza. Języka ich nie mogłem dosłyszeć, albowiem mówili za cicho, aby głos mógł dojść do wozu, powtóre psy, napróżno podpędzane i bite przez mulników, rwały się do ogniska, czyniąc straszny harmider, a w końcu wyjąc przeraźliwie. Po naradzie, zaproszono posłów do wieczerzy, przy której zjadali zupełnie nieprawdopodobne ilości bawolego mięsa, popijając o tyle wodą ognistą, o ile im jej dostarczano. Później stary strzelec powiedział im, bez długiej ceremonii, aby sobie poszli, co też i uczynili. Umowa, jak się później dowiedziałem, nie wypadła wcale po myśli naszych gości. Woothrup darował im kilka kul i powiedział, że to jedyny podarunek, jakiego mogą się spodziewać oni i ich bracia, jeśli będą nas napastować zbrojnie. Uczyniło to podobno niemałe wrażenie na Indian, którym, jak wszystkim dzikim, imponuje przedewszystkiem zimna krew i pewność siebie. Jednakże Woothrup oświadczył im zarazem, że i on i my wszyscy jesteśmy przyjaciółmi czerwonoskórych, że nie pragniemy im zrobić nic złego, i że gotowiśmy dać im znaczne i kosztowne podarunki, ale wtedy dopiero, gdy nam się spodoba. Na drugi dzień przyszło nowe poselstwo z zapytaniem, kiedy czerwonoskórzy mogą spodziewać się darów? Nowa odpowiedź Woothrupa więcej ich zadowoliła. Żądał on, aby główny oddział odjechał natychmiast, zostawiwszy przy nas pięciu tylko wojowników, którzy po kilku dniach podróży otrzymają znakomite dary i będą je mogli odwieźć swoim braciom. Żądanie Woothrupa, aby pięciu wojowników poje-

chało z nami, było bardzo zręczne; ci bowiem stanowiliby dla nas niejako paszport i straż bezpieczeństwa, która we własnym interesie starałaby się ochronić nas przed innymi oddziałami. Oznaczając termin, przez jaki mieli nam towarzyszyć, nie wyrażnie, ale na dni kilka, mogliśmy ich zatrzymać z tydzień i puścić dopiero niedaleko Percy. Ale Indianie, także chytry do najwyższego stopnia, odgadli te plany i powiedzieli Woothrupowi, że je odgadują. Nie zaprzeczał. Powiedział im, że istotnie takie miał cele, a teraz albo niech się zgodzą na jego żądania, albo niech się biją. Takie oświadczenie i ujęło ich i zaimponowało zarazem. Zrozumieli, że język naczelnika białych nie jest „dwoisty“, i że można ufać jego słowom; zrozumieli także, że jesteśmy czemś odmiennym od zwykłych awanturników. z jakimi spotykali się w stepach i, koniec końcem, zgodzili się na wszystkie żądania Woothrupa. Dzięki więc jego stanowczości, uniknęliśmy niebezpieczeństwa, na jakie mogło narazić nas starcie Pięciu Indian, przeznaczonych do towarzyszenia nam, nie spieszyło także z odjazdem. Mogli jeść i pić sto razy lepiej, niż zwykle w domu, a przytem spodziewali się jeszcze wyłącznych dla siebie podarunków. Traktowano ich dobrze, z wyjątkiem naszych psów, które ujadły na nich dniem i nocą. Ward tylko, jak z początku poświęcał im wszystkie godziny, które zbywały mu od pilnowania mnie, aby się niby uczyć ich języka, tak potem unikał ich, utrzymując, że nie może znieść przykrego zapachu, jaki wydają. Co do mnie, nie widziałem ich prawie wcale, cały ten czas bowiem przeleżałem, jak martwy, na wozie. Nakoniec, na dwa dni przed przybyciem do Percy, odprawiono posłów, obdarzywszy ich hojniej, niż się sami spodziewali.

Tak skończyła się nasza wyprawa, która trwała przeszło miesiąc. Za przybyciem do Percy, Woothrup i niektórzy z towarzyszących naszych, związanych z nim interesami, pojechali dalej na Wschód do Omaha i Council Bluffs, a stamtąd przez Sioux City do Czarnych Gór, reszta zaś, wraz ze mną, do San Francisco.

Obmowa jest wielką niecnotą; powinno być prawidłem: w oczy sądzić surowo, za oczy z umiarkowaniem; a o nieprzyjaciółach osobistych nic nie mówić, obawiając się samego siebie i uczuć, które na sąd wpływać nie powinny.

* * *

Szczęście bywa rzadkiem, ponieważ mało ludzi umie go szukać tam, gdzie jest, jako to: w obowiązku, w przywiązaniach, w dobroczynności, w nauce. Wielu nieszczęśliwych jest tylko niewdzięcznikami wobec Opatrzności.

Obrazki z przeszłości.

II.

(Ciąg dalszy).

— A w wojnie i to sztuka...

— Czcii zbytnej nie przynosząca.

Wincz usta zagryzł,

Milczący dotychczas stary krzyżak, Maks von Hohlburg, znany z waleczności, mruknął jakby do siebie:

— Nieradbym się teraz z nim potykać. Żołnierz z niego dzielny, wódz obrotny, przemyślny, a tu nasze wojsko znużone włóczęgą, dobywaniem miast, no, i — prawdę rzec — łupieżą ocieżyło...

Inni wnet mu usta zamknęli, nie chcąc, żeby wojewoda to słyszał. Nie wstrzymywali też Win-

— Takie bo wasze zdanie! Ja powiadam, że Polacy wtedy jeno straszni nam być mogą, jeśli naś będą przemagać liczbą w dziesięcioro! Litwa, Prusowie i oni tylko nawałą złamać nas potrafią! Tak!

Maks coś mruknął, ale sprzeczeki nie wszczynął.

Ruch zresztą dokoła powstał ogromny: wbijano drągi, rozsnuwano sznury, ustawiano żłoby dla koni, rozstawiano wozy. Oboźni biegali, każdemu oddziałowi wyznaczając granice, Ciury wlekli już drzewo z porozszarpywanych chat osady, z poznajdowanych w nich sprzętów.

Naraz w obozie ukazała się postać, która zwróciła uwagę starszyny. Był to żebrak, z przekrzywioną głową, połamanym grzbietem, który z trudnością powłóczył nogami, rozglądając się dokoła. Skąd się wziął? Jak go puszczono bezkarnie? Ja-



Z AFRYKI. — LEW W SIECI.

cza, który powłókł si) za swoimi, a komtur elbląski nuż z wymówkami do Hohlburga:

— Cóż bo wy gadacie, brednie jakież? Nasz żołnierz, chociaż znużony i znudzony, zawsze więcej wart od ich świeżego. Nigdy, w żadnym razie Polacy dla nas nie straszni. Widzieliście oddział wojewody? Obszarpańcy, kury zmokłe! I tacy oni wszyscy. Ani oręża, ani fantazyi nie mają a na sztuce rycerskiej całkiem się nie znają.

Maks na to brodę siwą gładząc:

— Ja zaś zawsze jestem tego zdania, żeby nigdy nieprzyjacie'a nie lekceważyć.

Herman, aż splunął ze złością.

kim sposobem uszedł żołnierskiego okrucieństwa? Trudno było pojąć, a to tembardziej, że suknia polskie pochodzenie zdradzała, czemu nie przebaczano. Kalectwo może pozwalało mu błędzić tu bezkarnie.

Zdawało się, że tych obcych twarzy i mowy wcale się nie lękał. Szedł wciąż, czegoś oczyma szukając; wreszcie, ujrawszy namiot czerwony, rozwijany właśnie, a obok niego chorągiew zakonu, skierował się w tamtą stronę.

— To Zbik! — szepnął komtur elbląski. — Inny nie odważyłby się tutaj, ale on nam służy.

Zbik, spostrzegłszy przed namiotem marszałka,

zbliżył się ku niemu i kilka słów z nim zamienił, potem powlókł się na miejsce puste nieopodal, i z trudnością się położył.

Namioty stały w ten sposób, że pomiędzy nimi pozostawiano małe uliczki. Jedna z nich prowadziła wprost do obozu polskiego, tak, że żebrak przez Polaków mógł być widzianym.

Szarżało już, rycerze rozjeżdżali się każdy do swego namiotu, aby zbroję zdjąć i odetchnąć. Na żebraka nikt nie patrzył. On, poleżawszy trocha, wstał i na kij wsparty iść począł. Zdawało się, że błędzi, bo snuł się tu i owdzie, wracał, wreszcie, jakby przypadkiem, wsunął się w ciasną uliczkę i zniknął.

Dnia tego obóz polski leżał na skraju. Stanowił on piąty hufiec wojska, oprócz niego cztery było jeszcze Krzyżackich. Wojewodzie wyznaczono miejscowość z gruntem bagnistym, lecz wojewoda nie zgodził się na to, poswarzył się z nimi, zgromił ich, że ludziom w błocie spoczywać kazać i nieco dalej się rozłożyć. Mały jego niepozorny namiot już był rozwinięty, lecz wojewoda na tę noc nic z wozów zdejmować nie kazał, rzucono więc w namiocie tylko garść słomy dla niego. Nie kazał też ogni niecić, zbroi zdejmować. Chodził jakiś niecierpliwym, zrywnym, nie myśląc o spoczynku, a co chwila podnosił ściankę namiotu i wyglądał. Włastek i Dobek również zniecierpliwienie okazywali.

Żbik śmiało do namiotu się wsunął, a znalazłszy się sam na sam z wojewodą, zupełnie się przekształcił — wyprostował, krzywizna grzbietu i niedołęstwo znikły. Ręka do kolan skłonił się Szamotulskiemu, ten go zagadnął:

Widział cię marszałek?

— A jakże. Widział i jałmużnę mi dał. Przecież mu służę.

To mówiąc, Żbik uśmiechnął się dziko, nadmieniając:

— Komu ja dziś służę? Albo ja wiem? Służyłem wam, kazaliście mi służyć im. Słucham was i słuchać będę, bo wam winieniem życie.

— Pytał cię marszałek?

— Juści pytał.

— Cóż mu powiedział?

— Jakieście wczoraj przykazali.

— A tamci daleko?

— Tuż w boru.

— Straże postawili?

— A jakże. Nocą albo nad ranem przyjdzie mgła że człowieka o krok dojrzeć nie będzie można.

— A ty drogę do nich znajdziesz po ciemku?

Rozśmiał się Żbik.

— Jam tu przecież swój, między Radziejowym a Brześciem.

Westchnął, poczem ciszej zapytał:

— Więc do nich, panku, do nich?

— Tak. I to nie czekając dnia, zaraz. Rozumiesz? Powiesz im: teraz, albo nigdy. Rozumiesz. Jutro rankiem. Część Niemców odeszła do Brześcia, część nie dociągnęła do noclegu. Ci, którzy tu są — ociężali, ospali, pomęczeni. Nie spodziewają się wcale, wcale. . .

Wojewoda tchnął mocno i dodał.

— Idź i pamiętaj: jutro o świtanu. . .

Żbik pocałował go w rękę, skurczył się, skrzywił, głowę przegiął i wysunął się z namiotu, znów jako kaleka.

Noc zapadała. Wedle przepowiedni Żbika, na ziemię zsuwać się zaczęła mgła gęsta, wilgotna, przejmująca. Dymy porozpalanych ognisk, przyciśnięte jej ciężarem, opadały też ku ziemi i rozsnuwały się niby szare opony nad obozem. Najbliższy powiew wiatru nie poruszył tej atmosfery zsiadłej, mokrej, wygryzającej oczy, utrudniającej oddech.

W taki czas z obozu polskiego nie widać było Niemców, Krzyżacy zaś nie mogli dostrzedz ludzi wojewody. Od żołdaków niemieckich dolatywały zwykłe okrzyki hulaszce — w obozie polskim panowała cisza, lud był jakiś nachmurzony i niespokojny.

Wojewoda szepnął coś Dobkowi — ten zaraz się udał do namiotu strzyczny Nałęczów. Siedzieli tam Remisz, Ogon, Żegota, Klimsz i inni, popijając z małej beczutki miód. Gdy zobaczyli Dobka, zwrócili ku niemu oczy, on im głową dał znak jakiś.

— Czy aby pewno? — zapytał Siłacz.

— Najpewniej.

Remisz zatarł ręce, jak gdyby się do ich użyć natychmiast sposobił.

— Do kata! Noc dzisiejsza będzie długa. . . — zawołał.

— Byle się nasi nie pośpili — mruknął Klimsz.

— Żaden oka nie zmruży, ręczę — szepnął Remisz, — To samo, co my, czują wszyscy. Ze skóryby powyłazili, tak im pilno. . .

Podniósł ręce do góry.

— Boże miłosierny! Boże mocny! Boże wielki! Dajże nam dożyć tej chwili. . .

— Byle król — rzekł Dobek — nie zawahał się tym razem. Bo ich drugi raz, jak tu, nie złapiemy. A i mgła okrutna. Nie zobaczą go, aż im na karku usiądzie.

— Powtórzcie no rozkazanie? — odezwał się Ogon — Co wojewoda mówi?

— W pogotowiu być, a nie poczynać, zanim król sam nie zacznie.

— A jeżeli we mgle na nas padnie pierwszych?

— Nie może to być, bo wie gdzie leżym. Dla tego wojewoda w dolinie nie chciał się rozłożyć, chociaż mu tam wyznaczono.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BAJECZKI DLA POLSKIEJ DZIATWY.

OSIOŁ I CHŁOPCZYK:

Osiołek szary osty zajada
 Ciężką zmęczony robotą,
 A chłopczyk, łając go, tak powiada:
 "Ej ty leniwy niecnoto!
 "Gdy każdy jeszcze pilnie pracuje,
 "Tobie kolacya już w głowie!
 "Czekaj! Pan wnet ci grzbiet wygarbuje!"
 Na to osiołek odpowie:
 — Nie gań mię chłopcze — jam przez dzień cały
 — Najcięższe znosił mozoły!
 — Kiedyś tak pilny, — czemuż się mały
 — Nie nauczysz lekcyi do szkoły?

K. Wachtel.



HENRYŚ OPIEKUN ZWIERZĄT.

Ojciec Henrysia był leśniczym, Mały Henryś szczególną opieką otaczał ptaszki, litował się nad głodnymi psami, nieraz od ust sobie odjął, aby podzielić się z Burkiem, psem z sąsiedztwa, który źle był żywiony i strasznie chudy. W lesie wyszukiwał gniazda z małemi pisklętami, by nad nimi czuwać i oddalać niebezpieczeństwo.

Pewnego razu znalazł gniazdko pliszek. Codziennie po skończonej nauce biegł do nich, ale nigdy nie brał do rąk, by ich nie trworzyć. Przyglądał się z daleka, a często zbierał małe robaczki i kładł je niedaleko gniazda by dopomódz starej pliszce w dostarczaniu żywności.

Jednego razu przychodzi, a tu już nie ma gniazdka. Rozchyła gałązki, szuka — daremnie. — Zburzyła je jakaś neliłościwa ręka, tylko pod krzakiem jedno pisklę piszczy żałośnie, jakby żaląc się na ludzkie okrucieństwo, trzepece słabemi skrzydełkami, ale wlecieć nie może, tylko zgłodniały dziobek otwiera, czekając na żywność, której mu już skrzydłata mama nie przyniesie.

Henrykowi łzy w oczach stanęły, podniósł biedną ptaszynę, ogrzał swem oddechem i pobiegł z nią do domu.

— Mamo, patrz, zburzone gniazdeczko, jakaś niegodziwa ręka dokonała tego okrutnego czynu. O, to pewno Stefek z sąsiedztwa, który jeść nie daje Burkowi, a często go bije bez potrzeby, lub ciąga za uszy, ciesząc się, że biedne psisko skomli z bólu.

— Uspokój się Henryku — rzekła mama — pliszkę możesz chować w domu, karmić robaczkami oto masz watę, zrób jej ciepłe i miękkie gniazdecz-

ko, to się w niem ogrzeje. Stefka może Pan Bóg ukarać za znęcanie się nad zwierzętami, które stworzył dla naszej wygody i przyjemności, wkładając na człowieka obowiązek opiekowania się niemi.

Henryś zajął się gorliwie wychowaniem pliszki, po nauczaniu się lekcyi, przynosił jej robaczki i mrówcze jaja, a ona zajadała z apetytem, jak gdyby je podawała jej mama, ciepła wata zastąpiła ptaszynie pierzem usłane gniazdko.

Mama zadowolona postępowaniem Henrysia, dała mu ładny obrazek Pana Jezusa z sercem otoczonym płomieniem.

— Co znaczą te płomienie? — zapytał Henryś.

— Przypominają nam gorącą miłość Pana Jezusa dla wszystkich ludzi i dla ciebie moje dobre dziecko. Niegdyś Pan Jezus ukazał się wiernej swej służebnicy, zakonnicy z Zakonu Wizytek, Małgorzacie Alacoque i żądał od niej, by rozpowszechniała nabożeństwo do Jego Najśw. Serca. Było to pod koniec 17go wieku. Od tego czasu wszyscy wierni katolicy czczą Najśw. Serce i wielkie przez to otrzy-

— O, mammo to i ja będę się modlił do Serca Pana Jezusa. aJkże bym już pragnął doczekać się przedej pierwszej Komunii Św., przez którą Pan Jezus zamieszka w mem sercu.

— Niedługo czas na to przyjdzie, mój Henrysiu, a tymczasem gotuj się do tej uroczystej chwili modlitwą i pracą, ofiaruj w tej intencji spełnianie obowiązków i wszystkich twych czynności.

Henryk wziął się do pracy, przewycięzał lenistwo, jeśli kiedy, jako pokusa zawitało na chwilę. Na wypoczynek biegł do swej pliszki, która znacznie podrosła, dostała ładne piórka i już świegotała swe ptasie piosenki.

Obrazek od mamy stał na stoliku Henrysia, spoglądając nań, powtarzał cichutko, ale z głębi duszy:

„Jezu cichy, serca pokornego,

Uczyni me serce podobnem do Twego!

A wtedy myślał o szczęśliwym dniu Komunii Św., gdy to Boskie Serce odda mu się zupełnie na całe życie.

Czas leciał. Pliszka już spacerowała po stole, oswojona, siadała na książce, lub zeszytce Henryka, gdy on się uczył, przychyłała główkę, jakby przysłuchując się jego lekcyi.

S. H. C. R.

Czytanie z poważną myślą w głowie, a piórem w rękę, ćwiczy pamięć, przyucza do systematycznego przedstawienia myśli, wpływa niemal cudownie na doskonalenie formy pisania.



Z włoskiego
przetłumaczył
Ks. St. Siatka

Syn marnotrawny

DRAMAT W IV AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

SCENA Xta.

Noc. Dolina i las jak w akcie pierwszym.

**ASSER, MAMUKA, JONA, ZECHUR, ASFENES
I INNI PRZYJACIELE.**

(przy zmianie sceny słycać kłótnie i sprzeczki.)

MAMUKA: (z drwinkami) Acha! chciałbyś powrócić do starego!...

ASSER: Ma się rozumieć, gdyż mię czekują — i przyrzekłem im...

MAMUKA: Ale i nam przyrzekłeś i to pierwej niż twojemu ojcu.

ZECHUR: Aa dajcie spokój wymókom, Asser tyłko żartuje...

ASFENES) On tylko tak mówi aby nas zaniepokoić...

MAMUKA: Tego on nie uczyni; czy masz pieniądze? czy może Jena przyniósł?

ASSER: Cóż ty myślisz, przecież 15 talentów w złocie, to nie sto obolow, które można ze sobą zabrać.

MAMUKA: Ja wiem, ale czyż cię nie pouczyłem jak miałeś zrobić?

ASSER: To prawda, jednak przyznasz, że w tem zamieszaniu nie mogłem tego skutecznie.

ZECHUR: Zapewne stary za wiele stękał i mrucał, nie chcąc się pozbyć tak okazałej sumki pieniędzy.

MAMUKA: Nie ma się o co zbyt kłopotać, jużmy je dostaniemy; poszliśmy Jonę do twego ojca, a on z pewnością jeszcze tej nocy przyniesie pieniądze, my zaś tymczasem zabawimy się wesoło u Zechura, daleko lepiej, niż w domu Eleazara...

ZECHUR: Niech żyje nasz Asser!

ASSER: Niech żyje Mamuka ten potężny geniusz, który zawsze znajdzie drogę wyjścia ze wszystkich trudności...

Wszyscy: Niech żyje! śmiejąc się i drwiąc.

MAMUKA: Kto tu przybywa? kto ośmiela się zakłócać nam spokój! A to stary.

SCENA XIta.

ELEAZAR, KARMEL, LABAN, JABEL I KILKU GOŚCI.

ELEAZAR: Synu mój! Asserze! gdzie jesteś? dlaczego uciekłeś?

MAMUKA: Kto jesteś? czego tu chcesz, zdziocięłały starcze!

ELEAZAR: Kto ja jestem? raczej ja się was zapamiętam, kto wy jesteście i kto was upoważnił do porwania mego Assera, i do zakłócenia spokoju we rodzinie!

MAMUKA: Assera nikt nie porwał gwałtem, do browolnie idzie z nami bo chce, bo tak mu się podobają i nikt nie ma prawa tamować jego wolności, kto chce ograniczać tę wolność, ten jest tyranem a nie ojcem...

LABAN: A ty, nakładasz kajdany tej wolności, czy nie jesteś więcej niż tyran?

ELEAZAR: Tyś przyczyną wszelkiego zła, jakie mię spotyka...

LABAN: Asserze mów, a jeżeli on...

ASSER: Czego żądacie? odjeżdżam do Babilonu, bo chcę i nikt mię nie może zatrzymać...

PRZYJACIELE I MAMUKA: Brawo! dobrze mówisz!

ASSER: Wiem dobrze, co robię i nie żądam niczyjej rady.

PRZYJACIELE MAM: Brawo! Doskonale!

ELEAZAR: Ach! synu mój, czyż mię chcesz wtrącić do grobu przez twój upór niczem nie usprawiedliwiony?... mówisz jak opętany... mówisz tak, jak ci każe twe szatańskie otoczenie...

MAMUKA: Tylko się hamuj, a nie ubliżaj nam...

ELEAZAR: Asserze! puśćmy to wszystko w zapomnienie (zbliża się do Assera chcąc go objąć w ramiona) Ja wiem że tak źle nie myślisz... na litość błagam cię, nie bądź tak zatwardziałym względem starego ojca, pójdz niech cię uściskam (chce go objąć.)

ASSER: Przenigdy (wirywa mu się). Przyślej mi natychmiast moje pieniądze, które mi się należą...

ELEAZAR: Dobrze, przyślej ci wszystko, ale pozwól niech cię uściskam, bo może to już po raz ostatni (stara się powtórnie przycisnąć go do piersi.)

MAMUKA: Bądź stałym, Asser...

ZECHUR: Odważnie! śmiało...

ASSER: Nadaremne wasze wysiłki, nie przekonacie mię, precz odemnie (wirywając się z rąk Eleazara, potrąca go, i ojciec upada na ziemię) precz odemnie...

PRZYJACIELE: śmieją się.

KARMEL: O Boże! co za zbrodnia!

LABAN: O synu niewdzięczny!!

ELEAZAR: powstawszy przy pomocy Labana i Jabela

Ach, Asserze, tegom się więc doczekał od ciebie na moje stare lata! Nie przeklinam cię, ale też ręka moja nie podniesie się, aby ci błogosławić. Bóg Izraela pomści się za mnie, jeżeli mu się tak spodoba. Idź, dokąd zamierzyłeś, słuchaj twych niecznych i fałszywych przyjaciół; ja ci przebaczam, wyrodny synu!... Wychodzą, podtrzymując Eleazara pod ramiona Laban i Jabel, a z przeciwnej strony słycać śmiech szatański.

Kurtyna zapada.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY
DLA DZIERCI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcyjny: **MACIERZ POLSKA,****81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS**Prenumerata roczna wynosi \$1.00. — Pojedynczy numer 3 centy
lub miesięcznie 10 ctAdres administracyjny: **MACIERZ POLSKA,****141-143 W. DIVISION STREET. CHICAGO, ILL.****MACIERZ POLSKA****AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE**

Issued at Chicago every Thursday.

Editor's address: **MACIERZ POLSKA,****81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS**

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month. Single copy 3 cents

Address of Business Office:

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA**141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS****W IMIĘ BOŻE.**

Walcz synu ziemi, bo życie jest bojem,
W którym zwycięstwo kupuje się znojem.
Żyje kto walczy! — a ci co spoczęli
Zmarli dla życia, jak owi anieli
Którzy pokorę rajska z siebie zdjęli,
Zmarli dla Boga, piękna i miłości,
I odpoczęli w wieczystej ciemności.
Walcz synu ziemi!.. w ogniu się przepali
Twe serce z gliny na serce ze stali,
I na dyament twa wola się wzmoże.
Walcz — choć nie mając nadziei wygranej,
A niech cię widmo nie trwoży przegranej;
Nie masz przegranej w walce w Imię Boże!
Są tylko klęski, lecz jeśli duch męski
Żywi cię, przyjmuj bez mdłych jęków klęski;
Niech każda będzie ci niby przestroga
Ku twej nauce na niekorzyść wroga.
Bądź jak Anteusz grecki niezłomny,
Za każdym nowem na ziemię rzuceniem —
Wstań, choć pobity, lecz niezwyknięty —
Z gorętszem jeszcze do walki pragnieniem,
I tym anielskim uporem zacniejszy
I tą niezłomną stałością silniejszy.
Słabością pytać — co będzie — jak będzie?
Ty — mając dobro sprawy swej na względzie
Chciej myśleć i czynić tak, aby dobrze było!
A w posagowych czynach zajaśnieje
To, co ci ledwie nieśmiało się śniło.
Wierz mi: twa mądrość w złem serca biciu!
Wszystko w twem chceniu, w tego chcenia by-
ciu!

M. Bartosówna.

Czterech braci sztukmistrzów.

Był raz ubogi człowiek, który miał czterech synów; skoro podorastali, powiedział do nich:

—Moje dzieci, musicie iść w świat, nauczyć się jakiego rzemiosła, ja wam nic dać nie mogę, starajcie się więc sami dojść do czego. — A czterej bracia wycięli sobie kije podrózne z leszczyny, pożegnali ojca i wyruszyli w świat. Po jakimś czasie przyszli na rozstajne drogi, które się rozbiegły w cztery strony. Tu rzekł najstarszy:

— Musimy się rozstać, a po czterech latach zjedziemy się znowu i zobaczymy, o ile nam szczęście dopisze.

Poszedł więc każdy w swoją drogę a najstarszy spotkał człowieka, który go zapytał dokąd idzie i jakie ma zamiary.

—Chcę się wyuczyć jakiego rzemiosła, —odparł chłopiec.

To przystań do mnie i wyucz się złodziejstwa —rzekł obcy człowiek.

—Nie chcę, — rzekł chłopiec, —to nie jest uczciwym rzemiosłem, a w końcu może człowieka zaprowadzić do kozy.

— Nie bój się, tak źle nie będzie; ja ci tylko wskażę, jakim sposobem możesz zabrać coś, co nikt inny nie potrafi i o oczem nikt się nie dowie.— Takim sposobem Jaś dał się namówić i został uczniem tego człowieka i to tak pojętnym, że się nic przed nim nie ostało, czego tylko zapragnął.

Drugi brat spotkał także wędrowca, który go zapytał jakie ma zamiary.

—Nie wiem jeszcze, —odparł Staś.

—To przystań do mnie i zostań astronomem, nie ma nad to lepszego i nic się przed nami nie ukryje.— Podobało się to chłopcu i został tak zrečnym astronomem, że nauczyciel jego uznał, iż już na własną rękę pracować może i ofiarował mu teleskop, przez który mógł wszystko midzieć, co się dzieje na niebie i na ziemi.

Trzeciego z braci wziął w naukę leśniczy i tak dobrze go prowadził, że wkrótce stał się znakomitym myśliwcem i mógł już samotnie pracować. Przy pożegnaniu dał leśniczy Zdzisiowi strzelbę, która tak celnie biła, iż niepodobna było z niej chylić.

Kryś, najmłodszy, przystał na naukę do krawca i wyuczył się gruntownie swej sztuki, a przy wyzwoleniach dał mu majster igłę, którą można było szyc wszystko, czy sukno, czy drzewo, czy stal, tak że ani znaku szwu nie zostało.

Po upływie czterech lat zeszedli się bracia znowu przy rozstajnych drogach, uścisnęli się serdecznie i wrócili do ojcowskiej zagrody.

—No przecie! —rzekł stary uradowany, —przecie raz wicher was do mnie z świata pozwiewa — Synowie opowiadali jak im się przez te lata po-



Z ŻYCIA W INDYACH

dziło i czego się każdy nauczył. Siedzieli właśnie przed domkiem pod dużą lipą, kiedy ojciec powiedział, że muszą zrobić próbę swoich umiejętności. Poczem spojrzali w górę między gałęzie i zapytał.

—Który z was potrafi powiedzieć ile jaj jest w tym gniazdku na drzewie.— Wtedy astronom dobył teleskopu, popatrzył i rzekł:

—Pięć.

—Więc ty Jaśku,— rzekł ojciec do najstarszego,— wybierz te jaja tak, aby ptaszek co na nich siedzi nic o tem nie wiedział i przynies je do mnie.— Mistrzowski złodziej wylazł tedy na drzewo i podebrał jaja tak zręcznie, że ptaszek ani się spostrzegł, tylko dalej siedział na gnieździe, podczas gdy Jaś przyniósł jaja do ojca. Ojciec wziął je, ułożył cztery na rogach stołu, przy którym siedzieli a piąte położył na środku i rzekł do Zdzisia:

—Ty strzelce przestrel mi wszystkie te jaja na jeden strzał.— Zdziś się złożył, strzelił a wszystkie jaja przestrelone na pół leżały na stole.

—Teraz kolej na ciebie,— rzekł ojciec do Krysia ty pozszywaj mi napowrót te jaja i pisklęta, co w nich były, aby im to nic nie szkodziło.— A krawiec wziął igłę i pozszywał jaja, poczem Jaś musiał je napowrót odnieść do gniazda tak, że ptaszę ani się społoszyło. Po kilku dniach wylęgły się zdrowe pisklęta z tych jaj, tylko tu, gdzie je krawiec pozszywał miały na szyjach czerwone piórka.

— Co prawda to prawda,— rzekł stary —rzekł któremu przyznać pierwszeństwo. Dopiero jak się miała wasze umięcie doskonale, tak że nie wiem, zdarzy sposobność porównania waszej zręczności, będzie to można rozsądzić.

Po niejakiem czasie rozeszła się po kraju wieść przerażająca, iż córkę królewska porwał smok straszliwy. Król był w rozpacz i kazał ogłosić, że ktokolwiek by ją wybawił, otrzyma ją za żonę.

— Niezła to sposobność,— rzekli czterej bracia, — tu możemy pokazać, co umiemy. — I postanowili wybrać się razem na odszukanie królewny.

— Gdzie ona przebywa, powiem wam zaraz,— powiedział astronom, a zajrzawszy w teleskop, rzekł: — Już ją widzę, siedzi na skale wśród morza, a smok tuż obok pilnuje jej. — Poszedł więc do króla, poprosił, żeby mu dał okręt i wszyscy czterej pojechali aż do skały wśród morza. Królewna siedziała na skale, a smok spał, trzymając obiema łapami.

— Nie mogę strzelić,— rzekł Zdziś — gdyż zabiłbym i królewnę razem.

— Więc ja spróbuję szczęścia! — powiedział Jaś, cichutko zakradł się na skałę i wykradł królewnę tak zręcznie z pod szponów smoka, że ten ani się zbudził, tylko chrapał dalej. Uradowani zabrali ją bracia na okręt i coby prędzej umykali z nią ku lądowi.

Smok tymczasem obudził się a nie znalazłszy królewny, popędził za niemi na błoniastych skrzy-

dłach, sycząc i wyjąc w powietrzu, jak wściekły. Był już właśnie nad okrętem, kiedy Zdziś wycelował i trafił potwora w samo serce. Cielsko jego spadło na okręt, było jednak tak olbrzymie, że go zgruchotało na sztuki. Szczęściem pochwytili parę desek, na których pływając, mogli się od śmierci ocalić, ale położenie było niemniej trudnem. Zabrał się wtedy krawiec do roboty, dobył swej czarodziej-skiej igły, pozszywał luźne deski kilkoma ściegami, usiadł na nich, a pływając to tu, to tam, pozbierał rozbite części okrętu i pozszywał je tak zręcznie, że wkrótce mogli bezpiecznie popłynąć do domu.

Radość króla była miśtychana.

— Jeden z was może ją wziąć za żonę,— rzekł do wybawców, — a który, to już między sobą ułóżcie. Zaczęli się więc bracia sprzeczać.

— Gdybym ja jej nie był dopatrzył,— rzekł astronom. — to wszystkie wasze sztuki na nic by się zdały.

— Coby pomogło dopatrzyć,— rzekł złodziej, gdybym ja jej nie był wykradł.

— Byłby was smok razem z królewną podarł na sztuki i pożarł od razu, gdyby nie ja,— dodał strzelec.

— Wszyscy byście potonęli,— rzekł krawiec, gdyby nie ja. Na to rzekł król:

— Równe wasze prawa i zasługi, ale ponieważ czterech nie możecie mieć królewny, żaden więc jej nie dostanie. Jako nagrodę ofiaruję wam pół królestwa,

Braciom podobało się bardzo to orzeczenie.

— Lepsze to, niżbyśmy mieli żyć dalej w niezgodzie. — Dotąd żyli wraz z ojcem w dostatkach, zgodzie i szczęśliwości tak długo, jak się Bogu podobało.

ZŁOTY KRZAK.

Edward szesnastoletni chłopczyk lubił bardzo kpić sobie z drugich. Raz pisał zadanie w swoim pokoiku, a przed nim leżało sześć nowych pięciodolarowych monet, które przez 6 lat na imieniny swoje po jednej dostawał.

Milcia, jego maleńka siostrzyczka, weszła do pokoju, oglądała błyszczące pieniądze i rzekła: — Braciszku, powiedz mi, gdzie rośnie złoto?

— W ogrodzie — odpowiedział Edward — na złotym krzaku. Wsadza się go w ziemię jak groch lub fasolę, a z tego wyrastają wysokie krzaki pełne dolarów.

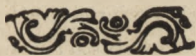
Mówiąc to, pisał dalej pilnie. Tymczasem Milcia zebrała po cichutku monety, poszła do ogrodu i zakopała je w ziemię. Gdy Edward kończył zadanie, weszła znowu Milcia do pokoju i odezwała się: — Edziu, teraz będziesz miał dużo dolarów, posadziłam wszystkie w ogrodzie.

Edward skoczył przerażony, wziął Milcię za rękę, zaprowadził do ogrodu i kazał pokazać gdzie zakopała monety. Lecz mała Milcia zapomniała już w którym miejscu wsadziła, i nie mogła ich odnaleźć, albo też wyjęli pieniądze robotnicy, parcujący w ogrodzie, bo widzieli, jak Milcia je sadziła — dosyć, że przepadły.

Gdy się ojciec o całej historii dowiedział, rzekł:

— Edwardzie, zasłużyłeś na tę karę za kłamstwo i kpiny swoje. Naturalnie, że Milcia bardzo jest nierozsądna, kiedy pieniądze siać chciała, ale ty jesteś niedobrym, kiedy kłamstwem chcesz się tylko zabawiać!

Kłamstwo nie wyda nigdy owocu dobrego,
Bo jest nasieniem do wszystkiego złego.



KRUCZEK.

Anielka pojechała z mamą na letnie mieszkanie. Mieszkały w lesie, w małym domku i było im bardzo dobrze.

Gospodarz tego domku miał dużego psa, którego zwano Kruczkiem.

Kruczek był tak duży, że prawie sięgał do ramienia Anielce; miał sierść długą, czerną, lśniącą, — uszy kudłate i bardzo mądre oczy.

Anielka zaprzyjaźniła się z nim odrazu.

Z obiadu zostawiała mu zawsze kostki od kurczęcia i skrzętnie składała wszystkie resztki z talerzy, ażeby je potem oddać Kruczkiowi.

Kruczek odwdzięczał jej się za to i gdy tylko usłyszał głos Anielki, biegł szczekając radośnie i wywijając puszystym ogonem.

Chodził też prawie zawsze z Anielką na spacer. Dziewczynka miała zawsze w kieszonce kawałek cukru, lub chleba i od czasu do czasu dawała Kruczkiowi, a ten się łasił, kładł łapy na ramiona i nieraz o mało jej nie przewrócił.

Razu jednego wyszła nieco dalej na drogę, wtem duży kozioł, który się pasł przy drodze, rzucił się wprost ku niej, grożąc rogami.

Anielka zaczęła uciekać, ale z pewnością kozioł byłby ją dognił, gdyby nie Kruczek, który złapał go za nogę i dopóty trzymał, póki Anielka nie wróciła do domu.

Potem przybiegł i z wielkim tryumfem i radością począł koło niej skakać i lizać po ręku.

Anielka objęła jego duży kudłaty łeb rączkami i głaszcząc mówiła:

— Dobry Kruczek, dobry, — dziękuję Kruczkiowi, że mnie obronił od tego brzydkiego kozła.

Ten jest wielkiej duszy, kto, cnocie żywot poświęciwszy, cierpliwie znosi pociski losu.

DWIE POTĘGI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW DYOKLEJANA.
Przez Toręq Jadwiegę.

(Ciąg dalszy).

Do sali rzeczywiście wszedł Stabor, przybrany godowo, jakwzyszyscy biesiadnicy.

Wykrzyknik dobiegł do niego, uśmiechnął się również. Przyjaciele pośpieszyli naprzeciw siebie i rzucili się sobie w objęcia.

— Widzę cię wreszcie!... O jakże za to dziękuję Bogu! — rzekł Marcelin — co się z tobą działo?

Stabor uśmiechnął się smutnie.

— Zdradzony zostałem — odparł, — Podobno ten, który za każdym widzeniem się mojem z tobą brał odemnie pieniądze, za tę przysługę, pod słuchawszy naszą rozmowę, doniósł dozorczy więzienia, że jestem chrześcijaninem.

— Czyniąc to, ani się domyślał, że robi nam wielką przysługę. Więc umrzemy razem, jak tego pragnęłeś — odrzekł Marcelin.

Lecz gdy to mówił zasępiła się jego twarz.

— Czy wiesz, jam zgrzeszył przeciw tobie, zwątpiłem w ciebie — dodał.

— Zwątpiłeś we mnie? — zapytał Stabor z żalem.

— Wybacz — odparł Marcelin — w ciszy i samotności, w jakiej całe dnie pędziłem, pokusa zajrzała do serca, przypominałem Alcybiadesa i...

— Nie kończ! — przerwał mu Stabor wzruszonym głosem — nie chcę słyszeć, że posądziłeś mnie. Jam śpieszył tutaj z taką radością, tak mnie ucieszyła myśl, że ci powiem: „jutro umrzemy razem“.

Urwał, wzruszenie go ogarnęło.

Marcelin wyciągnął doń ramiona.

— Staborze najmilszy zapomnij! — zawołał Marcelin ze skruczą — wyznałem mój grzech, żałuje serdecznie mego przewinienia,

Stabor podał mu dłoń.

— Wybaczam i proszę cię, nie mówmy już więcej o tem.

Uścisnęli się znowu, lecz z oczu Stabora smutek nie ustąpił.

— Nie wiesz nic o matce mojej i Lenie? — zapytał Marcelin, prowadząc przyjaciela do stołu.

— Lena może już znajduje się w Egipcie, zdażyłem jeszcze zobaczyć się z nią i powiedzieć, jakie jest twoje życzenie. Co do matki, sądzę, że przyjdzie ci dziś pożegnać. Posługacz mówił mi, że ona to przysłała nam szaty godowe.

— Wiem o tem — odparł Marcelin.

To powiedziawszy uściskał Stabora.

— Dziękuję ci za Lenę — dodał.

Przyjaciele usiedli obok siebie i wzięli udział w ogólnej rozmowie,

Do uczy nikt się nie zabierał, chrześcijanie bowiem chcieli przystąpić do innej uczy. Zwykle w wigilię walki odwiedzali więźniów djakoni, którzy przynosili im błogosławieństwo, na tę ucztę czekali.

— Czy widzisz, kto przyszedł nas pożegnać? — szepnął Stabor — ojciec Dyonizy.

Błada twarz syna Virinusa zarumieniła się z radości, powstał i pospieszył naprzeciw starca.

— Widziałem dzisiaj matkę twoją — rzekł biskup, całując go w czoło — przyjdzie pobłogosławić cię jutro. Gdy będziesz szedł na arenę, rozglądaj się dokoła. Lena jest w drodze do Egiptu razem z Salim.

— O! jak Bóg dobrym jest dla mnie — zawołał Marcelin.

— Przyszedłem pobłogosławić was — począł znowu Dyonizy — pragnę, ażebyście, jak prawdziwi chrześcijanie, ze spojrzeniami pogodnemi stanęli naprzeciw nieprzyjaciela. Uklęknij, Marcelinie! Młodzian spełnił rozkaz biskupa.

Dyonizy rociągnął nad klęczącym dłoń i chwilę modlił się cicho.

Na ten widok wszyscy opuścili stół i otoczyli starca na kolanach, on zaś błogosławił wszystkich i modlił się za nich.

— Patrz, czary czynią, a jutro udawać będą bohaterów! — mruknął jeden z dozorców więziennych.

— Wstrętni oszuści! nienawidzę ich! Gdybym był na miejscu cesara, kazałbym wszystkich wsadzić na wielki okręt, wywieść na środek morza i potopić.

— I cóżbyś dobrego uczynił?.. Toć nie mieliśmy jutro igrzysk.

Takie głosy odzywały się wśród skupionych pod ścianą pogan, którzy w stronę klęczących posyłali pełne nienawiści spojrzenia.

Po uczcie duchownej chrześcijanie zasiedli do zastawionej dla nich biesiady z rozkazu imperatora.

Dyonizy, który dla niepoznania przybrał tego dnia szaty świeckie, usiadł za stołem wraz z innymi.

Wesoło upłynął czas skazańcom, rozpogodziły się wszystkie twarze, na wszystkich ustach zjawiał się uśmiech. Gdy po skończonej uczcie Marcelin przystąpił do Stabora, aby mu życzyć dobrej nocy, już w oczach przyjaciela nie wyczytał żalu do siebie. Uścisnęli się podawnemu.

— Módl się, abyśmy się spotkali jutro na arenie! — rzekł Stabor.

— Będę się modlił — odparł Marcelin, całując go serdecznie.

Nazajutrz słońce wzeszło wspaniale nad Rzymem, jak gdyby to był dzień godowy.

Uroczyście wyglądały ulice miasta; na wszystkich cisnęły się tłumy ożywione, świątecznie wystrojone; wszystkie twarze były uśmiechnięte.

Niecierpliwie oczekiwany dzień przez pospólstwo zbliżał się wreszcie: różnobarwne i gwarne tłumy dążyły ku amfiteatrom Flawiusza, gdzie zapowiedziane i grzyska odbyć się miały.

Kady z dążących trzymał w ręku bilet wejścia, każdy śpieszył, aby lepsze miejsce zdobyć.

Na ulicach pełno było gwaru.

Niebawem olbrzymi amfiteatr zaczął się napełniać, ze wszystkich pięt wychylały się ku arenie głowy i spojrzenia niecierpliwie wyrażające. Kiedy niekiedy uczucie to wyrażano głośnymi krzykami.

Arena pustą jeszcze była, czerwonym wysypała piaskiem. Dokoła balustrady stali zwani łowcy, stróże drapieżnych zwierząt, z batami w dłoni. Złowrogi ryk, dający się słyszeć z prawej strony areny, dreszczem przejmował niektórych, innym sprawiał widoczną przyjemność, w innych podniecał niecierpliwie.

Wśród zajmujących miejsce na amfiteatrze nie brakło i chrześcijan. Ci zachowali się z całym spokojem. Naraz wszystkie spojrzenia zwróciły się ku łożu cesarskiej znajdującej się na parterze.

Otoczony licznym dworem, wszedł Dyoklecjan i zajął miejsce na złotym tronie, w pośrodku łoża stojącym. Bładym był śmiertelnie, na czole jego wypisane było znużenie, na ustach niesmak.

Przyszedł wziąć udział w okrutnej zabawie, ale gdy poddani jego z własnej woli i z radością to czynili, on przymusił się do przyścia, aby odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia. Obok niego zasiadło trzech rządów potężnego państwa Rzymskiego, za nimi ich dworzanie i niewolnicy.

Prefekt miasta dał znak chustką, że przedstawienie można rozpocząć. Widzowie poruszyli się nie spokojnie.

— Naprzód wyprowadźcie chrześcijan! — ozwały się liczne głosy.

Zwykle widowisko rozpoczynało się od polowania na dzikie zwierzęta. Barbarzyńcy, uzbrojeni w łuki, występowali na arenę, wypuszczano kilka lwów i tygrysów, a myśliwi starali się ubić ich jak najwięcej, niejeden wszakże z nich ginął w łapach rozjuszonego zwierzęcia. Czyniąc zadość życzeniu pospólstwa, Dyoklecjan obrócił się do prefekta za nim stojącego i rzekł:

— Zmniejszyć program widowiska.

Prefekt pośpieszył z tym rozkazem; zebrani w amfiteatrze znowu niecierpliwie zaczęli, gdyż na arenie nikt się nie ukazywał.

Tymczasem więźniowie gotowali się w swoich lochach z całym spokojem na śmierć męczeńską.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAGADKA.

Pierwsze, do herbaty dają,
 Drugiem trzeciem chłopca wołają...
 Drugie z literą, gdy dodasz trzecie
 Będzie Król polski, no któren, wiecie?
 Całe mamusia nastawi w garnuszek,
 Gdy cię boli brzuszek.

Jaka to straszna szkoda, że u nas nauka rządno-
 ści prawie nigdzie nie wchodzi w zakres wychowa-
 nia.

ZAGADKI.

Szarada.

Pierwsze z drugim — z wozem leci,
 Pierwszy i czwarty — ulubieńcem dzieci.
 Trzecich i czwartych pilnują brytany,
 A cały po wsiach bywa widziany.

Kwadrat magiczny.

a a a a 1) poeisk
 a a k l 2) żołnierz
 l l m m 3) zwierzę
 n n u u 4) kraj

Ułożyć tak słowa, aby można je czytać w tym samym po-
 rządku poziomowo i pionowo

Rozwiązanie zagadek z numeru 29.

Szarada: LICZ—MA—NY.

Łamigłówka kratkowa.

D a m a z y
 Ż R e b i e
 W i E d e Ń
 K o s Z y k
 W a z o N y
 G r o d n O

D R E Z N O.

Dobre rozwiązania nadesłali: Leok, Piotrowska i Bernard
 Pawłowski.

Z naszej korespondencji.

Chicago, dnia 22 lipca, 1907 r.

Kochany Prujjacielu!

Czy Prujjacielu nie dostał mego i mojej kuzynki listów.
 Przez jakiś czas byłem u mojej kuzynki na wakacjach. Ztam-
 tąd ona i ja posłaliśmy listy do Prujjaciela.

Mój wuj redaktor "Dziennika Chicagoskiego" pojechał
 do Europy na zjazd polskich katolickich dziennikarzy. W cza-
 sie podróży przysłał mi różne korespondentki. Z Warszawy
 przysłał mi korespondentkę, przedstawiającą konika zwierzyn-
 nieckiego. Na tej korespondencji napisał, Co ten obrazek
 przedstawia. Ja wiem trochę o tym koniku i chcę się podzielić
 tą wiadomością z czytelnikami Macierzy Polskiej. Gdy wuj
 przyjechał z Europy, prosiłem go, aby o koniku zwierzyniec-
 kim szukał w Macierzy Polskiej.

Słowik.

Odpowiedzi.

Słowikowi. Prujjacielu dziękuje bardzo za list; życze-
 nie twoje Słowiku spełnione. Listów poprzednich z wykacyj
 Prujjacielu nie otrzymał, widocznie gdzieś zaginęły, albo źle a-
 dresowane. Napisz jeszcze raz, opisując, jak spędziłeś wakacje.

Kl. Samb. Z nadesłanych zagadek nie możemy korzystać;
 najprzód są zbyt łatwe, następnie są błędnie ułożone. 'Sa'
 nie jest zaimkiem osobowym. Staraj się ułożyć trudniejsze za-
 gadki, nap. żeby początkowe i końcowe litery wyrazów dawały
 się odczytywać.

Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych
 AMERYKI PÓLNOOCNEJ.

p. o. Najśw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacya łącząca młodzież polską obojga płci w pra-
 cach naukowych, patr. otczych i fratniej pomocy dla podnie-
 sienia ducha moraln. ści i dobrobytu w społeczeństwie a szcze-
 gólnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r.

Obdarzona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia
 30go czerwca, 1906 roku.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division Str.

Chicago, Illinois.

ZARZĄD GŁÓWNY:

Ks. Franciszek Gordon, C. R., Moderator; Julian Szczepański,
 Prezes; Agnieszka Nering, I Wice prezeska; Maksymilian
 Brochocki, II Wice prezes; Wincenty J. Jóźwiakowski, S kre-
 tarz Główny; Władysław Sztańka, Skarbnik; Paweł P. Kuchar-
 ski, Dyrektor; Julian J. Nejman, Dyrektor; Feliks Aułustyno-
 wicz, Dyrektor; Franciszek Siatkowski, I Marszałek; Jan
 Szpekowski, II Marszałek.

Ks. Feliks Ładoń, Redaktor; Dr. Bolesław Klarkowski, Lekarz
 Główny; Ludwik Jankowski, Dyrektor Muzyki i Śpiewu;
 Teofil Gordon, Asystent Sekretarza Głównego; Izacy Ciesiel-
 ski, Bibliotekarz i Zarządca Klubu; N. L. Piotrowski, Doradca
 Prawny.

Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek
 miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza i Skarbnika Głównego w Biu-
 rze Generalnem: W każdy poniedziałek i w każdy piątek od
 godziny 7 ej do 9-iej wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacyi otwar-
 ty co wieczór, od godziny 7 ej do 10-iej. W niedziele, od godzi-
 ny 3-iej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Pol-
 ka religii rzymsko katolickiej, liczący lub licząca mniej niż 45
 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą za
 porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej.
 Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału mu-
 szą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego
 Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcji, a po
 uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom
 na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organizacyi

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnem złożeniem
 przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wieku, za
 odznak, za kwitaryusz, za konstytucyę i podatek miesięczny
 regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedzeniu przez
 głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat 15 nieskoń-
 czonych 50 centów; 16: 60c; 17: 70c; 18: 80c; 19: 90c; 20: \$1.00;
 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.40; 25: \$1.50; 26: \$1.60;
 27: \$1.70; 28: \$1.80; 29: \$1.90; 30: \$2.00; 31: \$2.20; 32: \$2.40;
 33: \$2.60; 34: \$2.80; 35: \$3.00; 36: \$3.20; 37: \$3.40; 38: \$3.60;
 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43: \$5.20; 44: \$5.60;
 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitaryusz 10c. Konstytucya 10c. Odznaki dla mężczyzny
 \$1.00; Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc
 na fundusz obrotowy 10c, assesment regularny na pośmiertne
 co miesiąc 10 centów.

Assesment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypad-
 ków śmierci, obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mają-
 cą, na równi wydatku na pośmiertne, na każdego członka z do-
 liczeniem jednego centa do każdego wypadku.

Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie
 wsparcie w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki

W przypadku śmierci członka Macierz Polska płaci spad-
 kobiercom za każdy miesiąc przynależności członka do Macie-
 rzy Polskiej i opłacenie wszstkich podatków, sumę \$10.00,
 stopniując aż do wysokości \$500.00 biorąc jako podstawę w
 obliczaniu wysokości pośmiertnego opłacone assesmentu mie-
 sięcznego.

Podajcie Nowe Adresa.

Członkowie Macierzy Polskiej mają niezwłocznie uwiadomić Administrację Macierzy Polskiej o każdej zmianie swego adresu. Inaczej nie będą otrzymywali "Macierzy" regularnie.

Zmianę adresu należy przelać na karcie pocztowej, podając dokładnie imię i nazwisko, stary adres i nowy, numer domu, ulicę i miasto, oraz dołączyć nazwisko Odziała i numer swej książeczki podatkowej. Kartkę adresować:

MACIERZ POLSKA
141-143 W. Division St. CHICAGO.

Urzędowe zawiadomienie.

Niniejszem zawiadamiam Szanownych urzędników i członków Macierzy Polskiej, że miesiąc *Sierpień*, b. r. jest wolny od nadzwyczajnych podatków na pośmiertne, a zatem opłaty do kasy głównej w miesiącu sierpniu, 1907 r., wynoszące będą 20 centów.

Win. J. Józwiakowski,
20-VII-07. Sekr. Główn. M. P.

"KONIK ZWIERZYŃIECKI."

Co roku, w Krakowie, w okolicy Bożego Ciała, gdy lud jest zebrany na rynku, ze Zwierzyńca wyjeżdża wólczek, tj. flisak, na rynek krakowski. Przebrany jest po tatarsku, i jedzie na drewnianym koniku, wyprawiając różne sztuki. Po skończonej zabawie podchodzi do ludu i pod okna kamienic, skąd mu rzucają pieniądze. Dzieje się to na pamiątkę pobicia Tatarów przez wólczków. A było to tak:

W roku 1281 w czasie procesji Bożego Ciała na rynku krakowskim, niespodzianie strażnik z wieży Maryackiej zatrąbił na trwożę. Przestraszony lud pyta: „co się stało?” Strażnik krzyknął: „Tatarzy na Wiśle”. Przerażony lud nie wie w którą stronę się udać, tem bardziej, że niedawno, bo 1241 roku Tatarzy cały Kra-

ków zburzyli. Ale wólczkowie uzbrowszy się w co im wpadło w rękę bronią mężnie brzegów Wisły. Na czele stoi młodzieniec znany jako Jaś Sierota. Mieszka u starego Kulisa. Kulis znalazł go jako omdlałe niemowlę na brzegu Wisły i przyjął go za syna. Teraz zmierzył strzałę ku chanowi tatarskiemu. Wypuścił strzałę i zabił chana, który stał w swojej łodzi. Tatarzy, widząc chana nieżywego uciekli w popłochu. Jaś ubrał się w szaty chana, jak zwyczaj każe, Lecz cóż to? Na szatach były po polsku zdania: „Boże strzeż Jasia” i „Boże obroń Kraków”. Wszyscy pytają co to znaczy, lecz nikt nie umiał tego wytłumaczyć.

całe to opowiadanie serce jak młotem biło. „Właśnie przed tyłu laty nad Wisłą znalazłem dziecko to, którem jest ten młodzieniec”, rzekł Kulis. Dowiedziałem się tylko, że nazywa się Jaś. Medalik, który miał na sobie, ma jeszcze może?... Co?... Jaś Sierota?! — przerwała kobieta. „Pokażcie medaliki”, Kulis odsunął szatę na Jasiu i pokazał medale. „Mój synu! wreszcie cię znalazłam”, zawołała. Syn i matka rzucili się sobie w objęcia. Dowiedziano się później, że Jaś był synem zamożnego rycerza. Król chciał go nagrodzić, ale on powiedział, że ma dosyć nagrody, bo matkę odnalazł.

Słowik.

O STYLU.

(Według Brodzińskiego).

Sposób, w jaki autor każdy myśli swe wyraża, nazywamy stylem, a nazwa ta pochodzi od wyrazu „stylos” oznaczającego metalowe narzędzie ostro zakończone, którem starożytni na tabliczkach twardej, warstwą wosku powleczonej pisali.

Dobry styl na tem zależy, ażeby pisarz mówić się zdawał i wzajem mówca tak się wyrażać powinien, ażeby jego mowa i na papier przeniesiona podobać się mogła.

Pierwszym i nieodzownym warunkiem dobrego pisania jest nie brać się do żadnego przedmiotu, którego gruntownie nie rozumiemy, gdyż przez to tem mniej od czytających zrozumianymi będziemy. Kiedyśmy rzecz jaką dobrze pojęli i uczuli, potrzeba mieć wzgląd, dla kogo ją uiszemy: pisać dla świadomych rzeczy, inaczej się musimy wystowić niżel wtenczas, gdy chcemy nieświadomych nauczyć. Inaczej gdy opinia powszechna przeciwną jest zdaniu naszemu, inaczej, gdy jest tylko nonierać potrzeba. To wszystko wskazywać powinno miare naszych rozumowań, ozdób i zapału. W każdym razie



PIES TOCZY KULE.

Jaś wjeżdża do Krakowa, a niedaleko idą dwie niewiasty. Przechodząc koło Jasia, starsza zawołała: „O Boże, toż to moja robota.” Oczy wszystkich na nią się zwróciły: „Znacie tę szatę? zapytał Kulis. Niewiasta odrzekła: „znamy i jeżeli chcecie to o niej opowiem. — Ja z moją siostrą dostałam się do niewoli tatarskiej. Zostałam rozdzieloną z jedynym moim dzieckiem. W niewoli wyszywałam i haftowałam szaty chanowi. Między motylami i kwiatami wyszyłam modły moje do Boga, które widzicie na tej szacie. Teraz, jako już stare, jesteśmy uwolnione z niewoli.” Jasiowi przez

DZIENNIK CHICAGOSKI

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8m1u wielkich stronicach.

Podaje dziennie wszystkie wiadomości telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy
egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:

\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na miesiąc.

W mieście Chicago:

45c miesięcznie.

U roznościeli egzemplarz 1c.

Pieniądze można przesyłać przez
Money Order lub w jednocentowych
znaczkach pocztowych.

Drukarnia

Dziennika Chicagskiego

wykonuje wszelkie prace w zakresie
drukarskim wchodzące, szybko,
gustownie i tanio.

Księgarnia

Dziennika Chicagskiego

ma na składzie książki wszelkiego
rodzaju.—Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy
przesyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,
141-143 West Division Street,
CHICAGO.

"Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce

założone w roku 1873.

PRENUMERATA ROCZNA \$2.

Najstarsza Księgarnia Polska w Ameryce

zaopatrzona w książki wszelkiego
rodzaju. — Katalogi wysyłamy
darmo na żądanie.

Najstarsza i największa Intro-
ligatornia Polska w Ameryce,
wykonuje wszelkie prace w za-
kresie introligatorskim wchodzące.

Po wszelkie szczegóły piszcie pod adresem

W. Dyniewicz,
532 Noble ul., Chicago, Ill.

trzeba się starać, aby nas zrozumieli ci, dla których piszemy. O tym samym czasie przedmiocie inaczej trzeba pisać dla uczonych, inaczej dla ludu, inaczej dla dorosłych, inaczej dla dzieci. Wiedząc o czym i do kogo mówić mamy, trzeba pamiętać, w jakim to celu czynimy, a zatem, jakimi środkami do niego dojść możemy. Chcemy naprzykład wyłuszczyć jaką prawdę, lub opowiedzieć zdarzenie historyczne. Tu rozsądny zamiar nie może być inny, jak ten, abyśmy rzecz dali dokładnie poznać. Zatem potrzeba użyć stylu stosownego do tego celu. W tym razie np. styl poetyczny, albo pełen patetyczności sprzeciwiłby się widocznie temu celowi. Często z chęcią nauczania łączy się i ta, ażeby wzruszyć; trzeba więc rozważyć, ile tego środka używać, ażeby nie ponaść w ton zanadto deklamacyjny. Istota np. poezji zależy na tem, ażeby rzecz o ile możności zmysłem czynić obecną, Pisarz powinien mieć ten cel zawsze na oku, korzystać z każdej okoliczności, która do tego jest zdolna, ażeby pismo jego nie było słabem i prozaicznym. Kto dowodzeniem iakowej prawdy jest zajęty, niech wyczerpie wszelkie dowody wesprzeć go mogące, kto ma na celu podobać się, niech nie pomija żadnego obrazu, niech się stara opisywać rzecz swoją pod tymi względami, pod którymi się podobać lub wzruszyć może. Jedno np. zdarzenie, może ze wiadamy, wcale różną mieć postać. W ogólności zaś można powiedzieć, że im pisarz żywiej jest przejęty dostojnością prawdy, pożytkiem swej pracy, tem jaśniej da się zrozumieć i uczuć. I to być powinno jedyną pobudką i celem każdego pisania. Przejęci tem, o czym, do kogo i w jakim celu piszemy, możemy już śmiało przystąpić do zebrania wszystkiego, co tę prawdę wyjaśnia, lub ten cel wesprzeć może.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorącem powietrzem, Wibracją, Elektryką, Massowaniem, Gimnastyką, Hydroterapią, Suggestyą, Kąpielami ziołowymi i mineralnymi.

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1030.

Właściciel Zakładu.

Spółka Młodzieży Polskiej

poleca Szanownej Publiczności
swój wielki SKŁAD OBUWIA

pod firmą

'The Grand Shoe Co.'

865 Milwaukee ave.,
pomiędzy Division i Ashland ul.

W tym składzie sprzedaje się trzewiki modne i trwałe dla mężczyzn, dam, młodzieży i dzieci po cenach umiarkowanych.



JÓZEF KORZENIEWSKI,

Przedsiębiorca pogrzebowy
i balsamator.

Wypożycza powozy na pogrzeby, chrysty, itp.

318 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 945.

— Otwarte w dzień i w noc. —

Fotografie!

Wykonujemy w najnowszym stylu i najmodniejszych pozycjach. Ślubne fotografie wykonane z wielką akuracją; nawet w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy fotografie pod gwarancją. Jedyna galeria, która posiada światło Rembleta. Ceny zniżone dla grup, towarzystw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret
wielkości 18x20.

St. Adamkiewicz & Co.,

właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

FRANK KLAJDA

Cieśla, Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko,
starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

OGŁASZAJCIE SIĘ

w „MACIERZY POLSKIEJ”.

NAGRODY

— dla —

Członków i Członkiń
pracujących nad
powiększeniem szere-
gów Macierzy Polskiej.

Nagroda I-sza:

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn.)

Ten wspaniały szczerzoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem "Hołd zasłudze" na przodzie, a nazwiskiem odznaczonej lub odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn.)

Ten elegancki, szczerzoty

medal z naszym godłem, w formie bryloka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba.

Nagroda II-ga:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Sliczny, szczerzoty znak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na klapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

Nagroda III-ga:

50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto już ma znak honorowy lub też złoty medal, albo woli go-tówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

Po najlepsze szczerzo - złote ślubne obrączki idźcie do jedyne-go polskiego składu zegarmistrzowskiego na Milwaukee ave.—do

M. Wojteckiego,
677 Milwaukee ave.

Telefon Monroe 1298.

JEŻELI CHCECIE

kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyć pieniędzy na budowę lub zakupno, to zgłacie się do nasmy wam najlepiej usłużymy

A. J. Kowalski & Sons,

625 Noble ul., Chicago.

JAN KOWALSKI,

agent ubezpieczenia od ognia członek Fire Underwriters Association. Asekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wzrabiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Grenowanie i Dekorowanie Freskiem i Tapetami

MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.

Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarski wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład
INTROLIGATORSKI,
812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON,
CHICAGO, ILL.

podejmuje wszelkie oprawy książek, to jest nakłady całe lub pojedyncze, jako to: książki biblioteczne, do nabożeństwa, nauki, książki szkolne i t. d. po cenach umiarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gustowna i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA,
812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.

N. L. PIOTROWSKI

ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.

Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph

Pórkój 807, Seie piętro. Tel. Central 608.

Wieczorem 605 Noble ul. Tel. Monroe 2427

Mieszak. 80 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1854

Ogłaszajcie się w
Macierzy Polskiej.



SUMMER CLEAN-UP

NOW let everybody get a bargain;
will save you from \$3.00 to \$8.00
on Men's spring and summer Suits

Sale Prices \$4⁸⁸ \$6⁸⁸ \$9⁸⁸ \$12⁸⁸

THE ARMITAGE
Milwaukee and Armitage Ave's